

Bałucki żywy

ZAWSZE podziwiałem pewność z jaką Kazimierz Dejmek porusza się po całym obszarze polskiej dramaturgii od najdawniejszej po współczesną, co prawda od czasów łódzkich nieco zaniedbywaną. Potwierdza to najnowsza premiera w Teatrze Narodowym w Warszawie — „Ciężkich czasów” Michała Bałuckiego. Wzorowo opracowany przez Halinę Zakrzewską program spektaklu zwalnia mnie od analizy tego, co „autor zamierzał przez

to powiedzieć”. Ograniczę się do tego co widziałem na scenie, bo tylko za to co na niej się dzieje reżyser ponosi odpowiedzialność. A dzieje się tam przezabawna, stylowa, cudownie grana, iskrząca się przednim humorem opowieść o galicyjskim zakątku CK Austriackiego Imperium. Co za typy! Co za dialog! Co za „sznyt” rodem „z Widnia”! Ależ to przedni dramaturg ten pan Bałucki.

Mamy tu więc pyszną zabawę, delektujemy się krecjami: Zdzisława Mroźewskiego (przeuroczy Lechicki), Kazimierza Wichniarza (krwisty, pyskаты Gębaliński), Aleksandra Dzwonkowskiego (nie, brak mi superlatywów dla oddania finezji tego wielkiego artysty), Barbary Krafftówny (której samo pierwsze wejście godne jest całego studium!), Wandy Łuczyckiej (kto umie dziś tak nosić suknie z ogonem!), czy Bogdana Baera jako sepleniącego wprawdzie, ale dziarskiego Krakowiaczka. Nie sposób wymienić wszystkich. Zespół jest wyrównany, a tempo znakomite. Dekoracje i kostiumy Andrzeja Stopki — ładne, zabawne, utrzymane w konwencji pośredniej między farsą a pastichem.

A więc co — same superlatywy? Nie. Na zakończenie szpila! Paru aktorów sypnęło się i to niewąsko. Trema? Zbyt mało prób? Nie wiem. Ale chyba tak być nie powinno. Pan Bogusławski by do tego nie dopuścił. Zakończę więc lekką trawestacją finałowej sentencji Pozytywnego Bohatera sztuki Żuryły (trochę bezbarwny Michał Pluciński). Pracujmy. Cudów nie ma. Tak na scenie jak i w życiu.

LEON JANOWICZ